ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 25-go Listopada 1897. Nr. 47.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WZGARDZONA.

Obrazek z XVII wieku przez Sta.

(Ciąg dalszy.)

Ludzie padali, jak muchy, umierali stojąc, lub idąc po drogach, zdawało się, że sam powiew wiatru zabija, że powietrze, którem się oddycha jest zjadliwą trucizną.

Po wszystkich kościołach w Polsce modlono się dniem i nocą, ludzie leżący krzyżem zaściełali kościoły i w około nich cmentarze; odprawiano uroczyste procesye, publiczne pokuty i nabożeństwa, na uproszenie miłosierdzia Bożego. Jak straszna trwoga i rozpacz opanowała wtedy ludzi, pokazuje się z następującej modlitwy, którą odmawiano powszechnie, a którą nam dochowały kroniki:

»Miłościwa Panno, Przenajświętsza Maryo, Matko Miłosierdzia, Królowo nieba i ziemi, módl się za nami grzesznymi. Wieleśmy winni Bogu i Synowi Twojemu za grzechy nasze. Uproś przecie cośkolwiek, a ty sama nas karz miłościwie, jeźli wola Twoja, bo Syna Twego ciężka i nieznośna ręka«.

Z każdego słowa tej modlitwy tryska boleść i rozpacz strasznie nawiedzonego ludu, który w niedoli swojej zwracał się do macierzyńskiego serca Najśw. Dziewicy, nie mogąc już niemal wytrwać karania Bożego.

Jak w całej nieledwie Polsce, tak i w Godowie zapanowało przerażenie nie do opisania, gdy tu wieść przyszła o zarazie. Dziedzica znowu nie było w domu, bo przyjechał tylko na kilka zimowych miesięcy do matki, aby zdrowie zupełnie odzyskać i rozpatrzyć się nieco w majątku. Lecz skoro wiosna nadeszła, dawszy w zastaw dwa folwarki i wspomogłszy gospodarzy Godowskich, zabrał resztę gotówki, kilkunastu sług dworskich oraz czeladzi, i ruszył na Podole, do obozu hetmana Kalinowskiego; walczono tam ciągle z Kozakami, którzy, pomimo, iż jeszcze roku nie było, jak ponieśli straszną klęskę pod Beresteczkiem, buntowali się bezustanku i zagrażali wojsku polskiemu.

W nieobecności syna, pani Godowska, skoro tylko zaraza pojawiła się w sąsiednich osadach, zaczęła sama obchodzić chaty i pouczać lud, jak się ma przysposobić na przyjęcie tego strasznego gościa. W minionych wiekach kobiety najlepiej się znały na lekarstwach i najskuteczniej leczyły choroby. Lekarzy w Polsce nie było wielu, mianowicie zaś w siedemnastym wieku, kiedy ciągłe wojny, dręczące naszą biedną ojczyznę, nie pozwalały rozwijać się naukom, wydzierały życie tysiącom zdolnych ludzi, a kraj cały przyprowadzały do ostatecznej nędzy.

Matka młodego dziedzica Godowa, jako prawdziwa polska matrona, była lekarką w swych włościach, rozdawała po chatach lekarskie zioła i uczyła, jak ich używać. Przeciw morowemu po-

wietrzu używano namoczonych w wódce lub w winie: kurzego ziela, nasienia lubczyku, korzenia dzięglowego, nagietków i tam dalej; powietrze w izbach czyszczono: paląc siarkę, silnego zapachu zioła, albo lejąc ocet na rozpalone żelazo, oraz skrapiając nim ściany.

Pani Godowska, oprócz rozdawania lekarstw, zachęcała ludzi do porządku, utrzymania w mieszkaniu i całem obejściu jak największej czystości, która najskuteczniej broni od wszelkich chorób, mianowicie od zaraźliwych; dalej zalecała wstrzemięźliwe, regularne życie, a obok tego pokładanie nadziei w Bogu i ratowanie bliźnich w nieszczęściu.

Mądrych rad tych słuchali Godowianie ze skupieniem, przytakiwali zacnej pani, wzdychali i obiecali się do nich stósować, ale skoro się zaraza pokazała we wsi, zapomnieli o dobrych radach dziedziczki. Skoro w jakiej chacie zapadł jeden z członków rodziny, na zarazę, opuszczali wszyscy chorego i cała rodzina uchodziła do lasu; nikt nie śmiał się zbliżyć do nieszczęśliwego; wnet też w lasach było ludniej, jak we wsiach, choć i tam marli ludzie, wlokąc za sobą straszną chorobę.

Nikt nie chciał ratować chorych, grzebać umarłych; jedynie pani Godowska, Michał Dąbrowa i stary ławnik, nawiedzali dotknięte zarazą chaty i nieśli pomoc jak mogli; Michał i ławnik grzebali umarłych, pani leczyła i pocieszała chorych.

W chacie Połonki dość długo byli wszyscy zdrowi; Mateusz trzymał żelazną ręką swoich domowników, zawsze tu prowadzono regularne i trzeźwe życie, porządek i czystość panowała zwykle wzorowa, a teraz sam Połonka, czeladź i wszyscy mieszkańcy jego zagrody, stósować się musieli do przepisów dziedziczki.

Aż pewnego dnia Mateusz wróciwszy z pola, zaczął się skarzyć na nieznośny ból głowy, trudny oddech i dziwną ociężałość.*)

— No, no, byście jeno, szwagrze, nie zachorowali — rzekła Idkowa wieczorem, gdy Połonka, siedząc na łóżku, oglądał swoje ramię.

— Ha! Wola Boża — szepnął niepewnym głosem Mateusz i dalej przypatrywał się swej ręce coraz pilniej i z widocznym niepokojem.

W izbie oprócz niego i Idkowej nie było nikogo; dzieci już spały, tylko Terka robiła jeszcze porządek w kuchni. Idkowa, kręcąc się po izbie, spojrzała znowu na Mateusza i spytała:

— Co wy tak oglądacie ramię? Czyście się może uderzyli i boli was?

— To nie... Ale patrzcie ino, siostro, takie czerwone plamki dostałem na ciele... czy mi się jeno wydaje? O, i guzy bodajnie mam pod pachą...

Idkowa postąpiła krok ku Połonce, spojrzała i odskoczyła przerażona, krzyknąwszy:

— Chryste Panie! Adyć to morowki!*) — poczem pędem wybiegła z izby, nie zważając na wołanie Mateusza.

Kroplisty pot wystąpił na czoło Połonki, zerwał się z łóżka, chciał biedz i wołać ratunku, ale zatoczył się gwałtownie, z piersi wydobył mu się chrapliwy ryk jakiś, którego sam za swój głos nie uznawał; nagle porwały go straszne kurcze, wymioty, potem przyszła gorączka, w czasie której stracił przytomność. Krótko przedtem zdawało mu się, że ktoś około niego chodzi, słyszał jakieś głosy, lecz już nie umiał sobie jasno zdać sprawy, co się z nim działo.

Jak długo leżał bez przytomności nie wiedział, ale gdy znowu rozum odzyskał, ujrzał się na łóżku, a nad sobą pochyloną twarz Terki, którą ledwo poznał, tak była blada i wychudzona, lecz oczy jej jaśniały radością. W izbie czuć było jakieś zioła, ocet i siarkę. Połonka zdziwionym wzrokiem wodził dokoła, usiłując sobie przypomnieć, co się z nim działo; aż gdy oczy zatrzymał znowu na twarzy sieroty, ta, widząc je jasne i przytomne, zawołała z radością, całując ręce Mateusza:

*) Takie były pierwsze znaki zbliżającej się zarazy.

*) Morowkami nazywano sine, lub czerwone plamki, jakie zarażeni powietrzem, dostawali po ciele.

— Mój jedyny stryju, już mi nie umrzecie! Dzięki Ci, najsłodszy Jezu!

Połonka chciał pytać, czy on to miał umierać, ale wtem drzwi się szybko otwarły i do izby wszedł pospiesznie stary ławnik, już z progu wołając:

— Michał zachorował! Ja już ani ziół, ani lekarstw nie mam, ale ty Terko, masz młode nogi; bież co ducha do dziedziczki, weź wszystko co trzeba do ratunku i zanieś prosto do domu Dąbrowy; ja tam zaraz idę. Ale się spiesz, dziewczę kochane, bo to drogi kawał, a on tam okrutnie zaniemógł.

Terka zachwiała się w pierwszej chwili, jakby pod uderzeniem ciężkiego ciosu; lecz osłabienie wnet przeszło; jak strzała wybiegła w milczeniu z izby i co sił pędziła do dworu, modląc się po drodze.

Ławnik zaś zbliżywszy się do Mateusza, rzekł:

— Wy sobie leżcie spokojnie; wam już nic nie będzie! Komu się morówki pokazały i wolno spadły, ten może Bogu dziękować za zdrowie... Już go tam zaraza nie chwyci. Ale leżeliście kilka dni bez pamięci... Oj, kuso już było z wami, Boże zmiłuj się! Gdyby nie starunek Terki, która was ratowała, jak ojca rodzonego, w nocy poleciała do dworu i do mnie, jak pies dzień i noc warowała przy waszem łóżku... no, gdyby nie to dziecko poczciwe, to dziś nie rozmawiałbym tu z wami. Jużby was ziemia przykryła.

— A gdzie to Idkowa, gdzie? — spytał Połonka ze zdziwieniem.

— Idkowa? O, to mądra, ale ladaco babo! Jakeście zaniemogli, tego samego wieczora uciekła do lasu i dzieci ze sobą zabrała; a tę niebogę sierotę samą z wami zostawiła. Mizerne niebożątko! nie wiedziało, czy was pierw ratować, czy wołać pomocy; ale jej Pan Jezus dopomógł. Teraz już ostańcie z Bogiem, Mateuszu, bo mnie pilno do Michała. Wyście już tak, jak zdrowi... Terka też tu wnet będzie z powrotem.

To rzekłszy, opuścił stary ławnik Połonkę i udał się do zagrody Dąbrowy. Lecz choć się poczciwiec bardzo spieszył i miał bliżej, to przecież Terka była pierwsza z lekarstwami u chorego. Gdy ją Michał ujrzał wchodzącą, jął wołać i ręką dawać znaki, aby się cofnęła i precz odeszła; lecz dzielne dziewczę, nauczone od pani Godowskiej, jak chorych ratować, bez wahania wzięła się raźnie do dzieła. Niebawem też nadszedł ławnik, a za nim dziedziczka i oboje zaczęli pomagać Terce.

Przez kilka dni następnych, sierota biegając pomiędzy chatą stryja a Dąbrowy, pielęgnowała obydwóch z największą troskliwością; w nocy wcale spać się nie kładła, zaledwo w dzień pani Godowska nakłoniła ją do krótkiego spoczynku, sama czuwając przy chorych.

Mateuszowi wnet wróciły dawne siły, bo był to chłop z natury zdrowy i silny, jak tur; a i Dąbrowa, dzięki porządnemu życiu, troskliwej opiece i szybkiemu ratunkowi, wkrótce powstał z łóżka.

Zaraz pierwszego dnia udał się do zagrody Połonki, aby podziękować Terce, za jej poświęcenie; po drodze zaś wstąpił do kapliczki, aby przedewszystkiem Panu Bogu złożyć dzięki za życie zachowane wśród tak wielkiego niebezpieczeństwa.

Stanąwszy na progu kapliczki ujrzał u stóp krzyża modlącą się wśród łez Terkę; i ona przyszła podziękować Panu Jezusowi za ocalenie stryja i swego wybawcy. Podczas ich choroby co dzień tu wbiegała na chwilę, obejmowała krzyż rękoma i wołała z płaczem:

— Jezu najsłodszy, zmiłuj się nad nimi! — całowała przebite stopy Zbawiciela z miłością i nadzieją i znowu spieszyła służyć swoim chorym.

Dąbrowa, pomodliwszy się serdecznie, wyszedł za Terką z kaplicy i jął gorąco dziękować sierocie za jej dobroć i poświęcenie. Lecz Terka przerwała mu zaraz, mówiąc:

— Cóż ja uczyniłam tak wielkiego, że mi dziękujecie? Przecie Pan Jezus każe kochać i ratować bliźnich. Jabym każdego chorego ratowała, a cóż dopiero was! Za was bym życie dała

z ochotą, bo wyście mnie uratowali od hańby i wstydu gorszego, niż śmierć. Ja biedna sierota nie miałam wam, bogaczowi, czem okazać wdzięczności... Pan Jezus dał mi łaskę, że choć w chorobie mogłam was doglądać...

— I ważyć życie dla mnie — przerwał ze wzruszeniem Dąbrowa.

Terka się uśmiechnęła, szepcąc:

— Życie takiego robaka... nie żałowałby nikt...

— Nie mów tak, dziecko! — zawołał Michał żywo i spojrzał z uczuciem na pobladłą twarz Terki.

Wielki niepokój opanował nagle Michała.

— Nie czujesz się ty chora Terko? — spytał niespokojnie. — Powinnaś sobie teraz wypocząć, gdy stryj już zdrowy. Wyglądasz bardzo zmarnowana.

— Nic mi nie jest, a dziedziczce trzeba pomoc chodzić około chorych. Bądźcie zdrowi i zostańcie z Bogiem! — zawołała Terka i podążyła szybko w stronę dworu.

Dąbrowa smutny i niespokojny wrócił do domu, lecz na drugi dzień poszedł do Połonki prosić, aby on nakłonił Terkę do spoczynku i ochraniania się; jakoż Mateusz upomniał sierotę. Lecz ona oswoiwszy się z niebezpieczeństwem, pielęgnowała teraz razem z panią Gadowską chorych a niejednemu udało im się uratować życie; zwłaszcza gdy zaraza ustała, a pokazały się inne liczne choroby, na które zapadali ci, co jeszcze we wsi zostali; większa część bowiem mieszkańców Godowa schroniła się do lasu.

Upłynęło kilka tygodni od wyzdrowienia Połonki i Michała, gdy pani Godowska zaczęła się skarzyć na nagły upadek sił i ogromne znużenie; kiedy Terka spostrzegła, że zacna matrona coraz jest słabszą, uprosiła ją, aby przez kilka dni nie chodziła do chorych, przyrzekając, że sama troskliwie będzie ich pielęgnowała. Dziedziczka uległa namowom sieroty, zwłaszcza, że nie było nikogo niebezpiecznie chorego.

Terka zastępowała już czwarty dzień panią Gadowską, gdy pewnego ranka przyszedłszy do niej po zioła i ocet, zastała ją ciężko chorą w łóżku. Dziewczę przestraszyło się ogromnie, obawiając się czy zaraza nie wróciła, ale pani uspokoiła Terkę, mówiąc, że to tylko ciężka febra. Sierota przecież rozdawszy kilku do zdrowia wracającym chorym zioła i lekarstwa, postanowiła na krok nie odstępować dziedziczki.

Gdy się wieść we dworze i po wsi rozniosła, że pani zachorowała, stał się popłoch ogromny; wszyscy byli pewni, że zaraza wybuchła na nowo. Kto więc był jeszcze zdrów w Godowie, uciekał do lasu; nawet ludzie dworscy uchodzili, tak, że ledwo kilka osób zostało w całej wsi. Choroba dziedziczki tymczasem stawała się coraz groźniejszą, a choć nie była czarną śmiercią czyli morowem powietrzem, przez kilka dni zagrażała życiu szlachetnej pani.

Terka nie odstępując jej łóżka, dzień i noc pielęgnowała ją z poświęceniem córki; a pielęgnowanie to trudem było nie małym, gdyż oprócz sieroty, nikt nie odważył się wnijść do pokoju chorej. Pan Bóg widocznie wspierał i błogosławił usiłowaniom Terki, bo nietylko sama została zdrową, ale staraniami troskliwemi dokazała tego, że po kilku tygodniach pani Godowska zaczęła wracać do zdrowia. Po pewnym czasie zaś, odzyskawszy siły, gdy już Terka nie była jej potrzebną, wyprawiając ją do domu, uściskała jak córkę, wzgardzoną sierotę i rzekła:

— Po Bogu tobie, dobre dziecko, zawdzięczam, że żyję i jestem zdrową. Ja ci tego nigdy nie zapomnę, a Ojciec niebieski z pewnością hojnie wynagrodzi.

Terka wróciła do stryja i zajęła się gorliwie pracą w domu, a choć widocznie zmęczona była bardzo, z podziwem wszystkich nie zachorowała wcale. Tymczasem nadeszła zima i wszystkie choroby wolno ustały. Ludzie, którzy w lasach nie poumierali, wracali do wsi i Godowian wróciła spora gromadka. Gdy się wszyscy obliczyli, spostrzegli z radością, że w Godowie stósunkowo dość dużo ludzi ocalało. Bo choć i tu

nie było rodziny, którąby kogo nie straciła, a nawet kilka rodzin zupełnie wymarło, to przecież wobec tego, że w innych wsiach i osadach wymierali czasem wszyscy mieszkańcy, Godów mógł się liczyć do szczęśliwych.

Razem z drugimi wróciła też Idkowa, lecz tylko z dwojgiem dzieci; najstarszy syn Tomek i mała Józka umarli w lesie, gdzie ich też pochowano. Idkowa była wielce zmartwiona i rozbolała po stracie dzieci, lecz boleść swoją okazywała nie smutkiem, ale złością, ponurem usposobieniem i nieprzepartą chęcią mszczenia się na domownikach za doznáną boleść. Terka wydała jej się najodpowiedniejszą ofiarą, na której miał się skupić cały okropny humor zmartwionej śmiercią dzieci matki.

Połonka przyjął bratową w milczeniu, która zaraz objęła po staremu rządy. Ale gdy drugiego dnia jęła lżyć Terkę i wykrzykiwać na niegodziwego leniucha, jak sierotę nazywała, którąby była przez swoje lenistwo całe dobro zmarnowała, wtedy oczy Mateusza ogniem gniewu zabłysły, zacisnął pięści, przyskoczył do Idkowej i krzyknął z wściekłością:

— Milcz, babo! bo ci łeb rozwalę! — ale w tej chwili się pomiarkował, pasował się z sobą, przez kilka minut i wreszcie spokojniejszym już głosem dodał, patrząc jednak surowo na stojącą w osłupieniu Idkową:

— I to sobie spamiętajcie raz na zawsze, że jak jedno słówko piśniecie na Terkę, jak ją skrzywdzicie, choć złem spojrzeniem, tak fora z chałupy. Pamiętajcież i miarkujcie swoją gębę.

Poczem spojrzawszy łagodnie i życzliwie na sierotę, wyszedł z izby. (Dok. nast.)

SIWY KONIU.

Siwy koniu, siwy koniu!
Coś tak zadumany?
Nie wiesz drogi, nie wiesz drogi
Do mej ukochanej.

Moja miła nas rzuciła,
Nie wyrzekłszy słowa;
Jak nie znajdziesz drogi,
Zginąć nam gotowa.

Siwy koniu, siwy koniu,
Ciężko tobie będzie,
Przegonimy wiatr, co wieje,
Nie spoczniemy w pędzie.

Siwy koniu, siwy koniu,
Cięższej sercu memu,
Bo straciło już nadzieję,
Samo nie wie czemu!

Adam Asnyk.

NAJNOWSZE WYPRAWY DO BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

Dotąd nikt jeszcze nie dotarł do bieguna północnego, lecz od wieków już podróżnicy różnych narodów puszczali się w tym celu w krainę wiecznych lodów. Niedawno dopiero powrócił z takiej wyprawy sławny Nansen, a wkrótce po nim podróżnik Fryderyk Jackson (obacz objaśnienia rycin).

W ostatnich dziesiątkach naszego wieku dokonano wielu takich podróży.

W roku 1860 wyjechał dr. Hayes, który już dawniej w wyprawie podróżnika Kanea uczestniczył, na północ, spodziewając się, że dosięgnie do bieguna. Jakkolwiek to mu się nie udało, dotarł jednak dalej, niźli jego poprzednicy.

W tym samym czasie Szwedzi usiłowali także przedostać się do bieguna przez Szpicberg. Należy przyznać, że ten naród położył wiele zasług około zbadania powyżej wymienionej wyspy, w 1596 r. odkrytej przez Holendra Berenta.

Profesor Nordenskiöld, wsławiony później opłynięciem północnej Azyi, wy-

ruszył na śzrubowym parowcu »Zofia« i, pokonawszy wiele trudności, dosięgnął 81^0 42 stopni szerokości północnej, co było czynem nie zapisanym w dziejach geograficznych odkryć.

Przekonano się, iż północno-zachodni brzeg Szpicbergu był oddawna odwiedzany przez norweskich wielorybników, którzy mieli tam zawsze obfity połów. Wyprawa, czyniąc poszukiwania geologiczne, odkryła obfite pokłady węgla kamiennego, który mógł być wielce przydatnym dla żeglarzy, zagrożonych brakiem paliwa w krainie wiecznych lodów.

W 1865 roku kapitan Sherard Osborne przedstawił rządowi plan dotarcia do bieguna północnego, przedłużeniem przepływu Smitha. Anglicy, zrażeni licznemi niepowodzeniami, nie mogli jakoś zdecydować się na nową wyprawę.

Tymczasem zaś wielorybnik amerykański Zoong, wypłynąwszy w dniu 14 Sierpnia 1867 roku z cieśniny Beringa, odkrył wybrzeża nieznanego lądu, który, na cześć ruskiego admirała, nazwano ziemią Wrangla. Później wszakże przekonano się, że ta ziemia była już opisaną w 1849 roku przez Kelleta.

Amerykanin Hall z niezmordowaną usilnością szukał dalej śladów Franklina. Zbadał on jak najsumienniej w kilku podróżach zatoki Frobischera i Repulse i w końcu przyszedł do przekonania, że ostatni członkowie zaginionej wyprawy, mianowicie kapitan Crozier i jeden z majtków, umarli dopiero w 1864 r. na wyspie Southampton, w zatoce Hudsona.

Najjaśniejsze jednak światło na los wyprawy Franklina rzuciła wyprawa amerykańska, pod wodzą Fryderyka Schwatki, wysłana w 1878 roku przez Amerykańskie Towarzystwo Geograficzne. Ekspedycya ta czyniła bardzo skrupulatne poszukiwania na wybrzeżach Ziemi króla Wilhelma, które zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem. Znaleziono bowiem mnóstwo przedmiotów, pochodzących z okrętów Franklina, kilkanaście szkieletów nieszczęśliwych jego towarzyszy, łódź i t. d. Spotkano nawet między Eskimosami starą kobietę, która widziała kiedyś na własne oczy oddział wyprawy Franklina.

Zestawiwszy te wszystkie wiadomości, można w ten sposób przedstawić losy zaginionej wyprawy:

Aż do Września 1846 roku podróż odbywała się szczęśliwie. Okręty bez przeszkody dosięgły północnego krańca Szczęśliwego przylądka i tam zostały uwięzione przez lody. Przezimowano w tem miejscu w nadziei, iż za nadejściem lata okręty »Erebus« i »Terror« będą mogły puścić się w dalszą drogę. Zawiedziono się jednak; w Czerwcu 1847 roku umarł dowódzca wyprawy Franklin, 9 oficerów i 15 ludzi z załogi, »Erebus« i »Terror« musiały przepędzić wśród lodów całe lato i drugą zimę. Na domiar złego wybuchła zabójcza choroba zwana szkorbutem. Kapitan Crozier ujrzał się zmuszonym porzucić statki i na saniach puścił się przez lody w kierunku zamieszkałych okolic; ludzie jednak byli bardzo wycieńczeni chorobą i trudami. Niebawem wkradło się nieposłuszeństwo; jedni pozostali na okręcie, drudzy rozproszyli się na wszystkie strony i znaleźli okrutną śmierć pośród niezmierzonych pól lodowych, zdaleka od ojczyzny.

Z pomiędzy podróżników, którzy brali udział w wyprawach podbiegunowych, wspomnieć tu wypada o Jansenie i Stearstrupie, którzy położyli zasługi około zbadania Grenlandyi, i o Payerze i Weyprechcie, którzy na statku »Tegetthof« odkryli na północ od Nowej Ziemi nieznany kraj, nazwany Ziemią Petermanna (1874 roku).

Podczas gdy Amerykanie i Anglicy usiłowali dosięgnąć bieguna północnego przez kanał Smith'a, Niemcy postanowili próbować szczęścia na innej drodze.

Dzięki Augustowi Petermanowi wysłano w 1869 roku dwa okręty »Germanię« i »Hanzę«; dowództwo nad wyprawą powierzono kapitanowi Karolowi Koldewey.

Wypłynąwszy z Bremerhaven, statki pożeglowały na morze Północne w dniu 15-go Lipca; ekspedycya znajdowała

się już pod 74 stopniem szerokości północnej na wielkim prądzie biegunowym, pokrytym olbrzymimi odłamami pływającego lodu, które zamieniły się w pobliżu wybrzeży Grenlandyi w olbrzymie pola lodowe.

W kilka dni potem, wskutek źle zrozumianego sygnału, kapitan Hegeman dowódzca »Hanzy« rozłączył się z kapitanem Koldeweyem. Ponieważ od tej chwili okręty płynęły nie jednemi drogami, przeto rozpatrzymy najprzód losy »Germanii«.

W dniu 25-go Lipca udało się »Germanii« wedrzeć pomiędzy lody, tamujące jej drogę; w cztery dni potem ujrzano wybrzeża Grenlandyi. Okręt jednak został przez burzę odpędzony na południe i musiał powtórnie szukać przejścia przez lody, co mu się ostatecznie udało. Dnia 5-go Sierpnia zarzucono kotwicę u wyspy Sabiny, gdzie zdecydowano się przepędzić zimę, zrobiwszy przedtem kilka wycieczek do wyspy Schannon i Pendulum.

Podczas gdy »Germania« spokojnie stała na kotwicy, nieszczęśliwa »Hanza« walczyła z lodami. Po rozłączeniu się z »Germanią«, daremnie usiłowano odszukać ją. Po długich próbach musiano zaniechać tego zamiaru i płynąć dalej na własną rękę.

W dniu 28-go Lipca »Hanza« znalazła się pod 73 stop. szerokości północnej i 17 stopniem długości zachodniej w sąsiedztwie skalistych wybrzeży Grenlandyi wschodniej. Chciano wylądować, lecz lody nie pozwoliły na to; aż do 5-go Sierpnia przebijała sobie »Hanża« drogę przez lody na otwarte morze, w końcu jednak musiała się zatrzymać, gdyż kra otoczyła ją ze wszystkich stron.

Daremnie starano się dotrzeć do lądu; ostatecznie schroniono się pomiędzy dwa występy pola lodowego, które później stało się deską ocalenia dla załogi.

Przekonano się niebawem, iż owo pole lodowe posuwa się wraz z okrętem na południe; w dniu 9 Września wielka kra zatarasowała zupełnie »Hanzę« tak, iż podróżni stracili wszelką nadzieję wyswobodzenia się z pośród lodowców, W kilka dni potem powstała silna burza i miotana falą kra podniosła »Hanzę« w górę; położenie stawało się niebezpiecznem. Tego samego wieczora na niebie ukazały się błyszczące plamy zorzy biegunowej, która sięgała aż do zenitu.

Ponieważ pogoda była nazajutrz piękna, marynarze udali się na przechadzkę po lodach i po drodze niespodziewanie spotkali się z niedźwiedzicą, która prowadziła młodego.

Kilka celnych strzałów powaliło niebezpiecznego zwierza; niedźwiadka zaś postanowiono oswoić. W tym celu zbudowano mu domek ze śniegu i przywiązano go w nim na łańcuchu. Dzika natura przemogła jednak i niedźwiadek pewnego wieczora znikł, wyrwawszy łańcuch z lodu; zbieg okupił jednak śmiercią chęć odzyskania wolności, gdyż, pociągnięty ciężarem łańcucha, utonął w morzu.

Stopniowo marynarze oswoili się z myślą przezimowania na polu lodowem; załoga spodziewała się, iż z nastaniem wiosny uda się jej dosięgnąć Islandyi. W obawie jednak, aby okręt nie został zgnieciony przez lody i nie zatonął niespodziewanie, przeniesiono na lód część zapasów i zbudowano ze śniegu wygodny domek, który miał służyć za stałe pomieszkanie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POLSKIE KLEJNOTY KORONNE.

Pod tą nazwą rozumiemy oznaki królewskie do koronacyi królów używane, a mianowicie: koronę, berło, miecz i jabłko królewskie, a także i inne kosztowności będące własnością Rzeczypospolitej, przechowywane w skarbcu

koronnym na zamku krakowskim, w epoce od króla Władysława Łokietka aż do roku 1795. Niema wątpliwości, że już Bolesław Chrobry miał własną koronę i skarbiec, skoro wiemy z dziejów o podróży cesarza Ottono III do Gniezna, o bogactwach, jakiemi Bolesław zasypywał dwór dostojnego tego gościa, i o koronie, którą cesarz podarował władcy polskiemu wraz z innemi pamiątkami. Pomiędzy darami Ottona była włócznia św. Maurycego dana Bo-

Jest więc domysł, że Brzetysław, król czeski złupiwszy Gniezno i jego skarbce w roku 1039, zabrał i krzesło akwizgrańskie. Ryksa czyli Regina wdowa po Mieczysławie II, uwiózłszy z Polski koronne insygnia do Niemiec, zostawiła je tam w przechowywaniu u cesarza Konrada II, dopóki Kazimierz Odnowiciel na tron nie wrócił.

Wedle podania dochowanego w osyjackim klasztorze, jakiś Polak wyniósł przed rokiem 1748, pierścień z grobu



W wiecznych lodach: Wyprawa Jacksona. (Obacz objaśnienia rycin).

lesławowi na berło i złote krzesło tronowe wyjęte z grobu Karola Wielkiego w Akwizgranie. Że niezawodnie skarbiec katedry gnieźnieńskiej posiadał ten ostatni tak niepospolity zabytek, dowiódł tego w naszych czasach uczony koloński Bock, przywodząc wypisy z dawnych aktów akwizgrańskich, w których wielokrotnie wspomniano o przewiezieniu tronu Karola Wielkiego do Polski. Pamiątka ta zajmująca całą Europę musiała jednak wcześnie zaginąć, bo późniejszych o niej wzmianek nie mamy.

Bolesława Śmiałego. Bolesław Krzywousty i żona jego Salomea, mając córkę w wirtemberskim klasztorze w Zweifalten, posyłali tam bogate dary. Współczesne akta tego klasztoru wymieniają między datkami: »płaszcz królewski złotem dziany, z czerwonym u dołu brzegiem, wedle obyczaju polskiego gwiazdami złocistemi zasiany.«

Złoty krzyż bizantyńskiego wyrobu z piastowskiego skarbca, włócznię św. Maurycego i część gwoździa od krzyża Chrystusa Pana, przechowuje dotąd ka-

pituła krakowska. Do grobu nie wkładano królom polskim insygniów oryginalnych, własność skarbca koronnego stanowiących, ale tylko ich podobizny. Gdy w roku 1869 przystąpiono w katedrze krakowskiej do naprawy pięknego marmurowego grobowca króla Kazimierza Wielkiego, znaleziono wewnątrz szczątki królewskie z koroną na głowie, berłem, jabłkiem królewskiem, pierścieniem, ostrogami i 10 guzami. Korona, berło, jabłko, ostrogi i guzy były bronzowe pozłacane, pierścień tylko szczerozłoty. Korona ta, wysmukła, dziwnie pięknych i szlachetnych kształtów, świadczy o wysokiem wykształceniu artystycznem ówczesnych złotników, niemniej berło liściaste dziwnie lekkiego rysunku.

Koronę Bolesława Chrobrego, która przywieziona z Gniezna do Krakowa służyła do ukoronowania Łokietka, a potem jego syna Kazimierza Wielkiego, siostrzeniec tegoż Ludwik król polski i węgierski, gdy nie miał syna tylko córki, w obawie aby nie służyła do koronacyi komu innemu a tylko jego potomstwu, wywiózł do Węgier wraz z berłem. Koronę powyższą i berło cesarz Zygmunt zwrócił potem Władysławowi Jagielle, który klejnoty te z wielką uroczystością do Krakowa i skarbca koronnego na Wawelu wprowadził. Stąd to Jagiełło, gdy korona Chrobrego pozostawała na Węgrzech, musiał sobie nową do koronacyi swojej sprawić.

Przy zwłokach królewskich w czasie pogrzebu kładziono zwykle koronę pogrzebową funeralis zwaną. Gdy Zygmunt August umarł w Knyszynie, a sprowadzenie klejnotów koronnych ze skarbca krakowskiego na Podlasie było niemożliwem, użyto czasowo korony Jana Zapoli eks-króla węgierskego, który był szwagrem Zygmunta I. Insygnia więc jego tytułem spadku przeszły na naszego Zygmunta Augusta i dlatego w prywatnym skarbcu królewskim znajdowały się. Skarbiec koronny mieszczący się w trzech sklepach dolnych, w dziedzińcu pod kolumnadą południową zamku krakowskiego, zawierał w wieku 16-tym tak wielkie bogactwa, że nuncyusz papiezki Ruggieri nadziwić się nie mógł tym klejnotom w dyamentach i złocie, a inny cudzoziemiec pisze w pamiętnikach swoich, że nad jego jagielloński skarbiec bogatszego skarbca w Europie nie było, a zdaniem jego, po samym Zygmuncie Auguście, więcej klejnotów zostało, niż ich wtedy kilka zebranych razem skarbców współczesnych mu królów mieć mogło.



PODRÓŻNIK F. JACKSON.
(Obacz objaśnienia rycin).

Lustracye klejnotów koronnych dochowały się od roku 1590. Za Zygmunta III r. 1599 sejm wyznaczył komisarzy, a mianowicie: Tylickiego biskupa krakowskiego, Oleśnickiego wojewodę krakowskiego, Lubomirskiego kasztelana wojnickiego i Bykowskiego kasztelana łęczyckiego, aby skarbiec koronny zlustrowali. Ze spisu, który został przez tych komisarzy sporządzony, widzimy, że skarbiec obejmował wielką ilość drogich kamieni, a mianowicie rubiny, dyamentowe tablice z wielkiemi perłami, szpinelle wielkie ze szmaragdem, szmaragdowe tablice, szafir wielki rzezany w kaście z perłą, rubin balas, różę wielką z dyamentem szmelcowaną, dyament »punt wielki i około niego puntów mniejszych 12«, dalej mnóstwo klejnotów pod nazwą zawieszeń, noszeń i tablic. Polica druga

obejmowała kilkanaście zawieszeń i tablic. Na policy trzeciej były znowu zawieszenia, zapony, noszenia i krzyżyki. Szkatuł większych z klejnotami zawierających każda po kilka polic, było w skarbcu 7.

Widzimy kosztowne zapony z św. Jerzym, orły, lwy, medale mitologiczne z Marsem, Wenerą, Kupidynem, albo historyczne, jak z Kurcyuszem wpadającym w otchłań, ze Scewolą palącym rękę i t. d. Szły rozmaite naszyjniki, manelle, pendenty do pasów, wielka liczba łańcuchów, wachlarze, czary, puszki i różne przedmioty sztuki ze złota i drogich kamieni, nakoniec właściwe godła władzy królewskiej jak berła, jabłka i t. d.

Gdy się przegląda spisy tych niezliczonych kosztowności, nabiera się wiary w świadectwo nuncyusza Ruggierego, że skarbiec koronny Jagiellonów należał do najbogatszych w świecie. A jednak klejnoty koronne bywały nieraz zastawiane! I tak widzimy dyament bardzo wielki i perłę podługowatą w zastawie u pana Niemojewskiego, różę z dyamentami i rubinami u pana Komorowskiego, zawieszenie z dyamentem wielkim na trzy grańce rzezanym, w zastawie u p. podskarbiego, tablica dyamentowa wielka była zastawiona w Królewcu. U elektora brandenburskiego zastawiono raz klejnotów za sumę talarów trzysta tysięcy. Pozornie wygląda to dla nas bardzo upokarzająco, ale w istocie zastaw taki nie był niczem innem, jak pożyczką na wojnę w obronie kraju. Wojna zawsze była rzeczą kosztowną, a przy utrudnionych dawniej komunicyach ciągnęła się zwykle znacznie dłużej niż dzisiejsze. I dzisiaj najpotężniejsze mocarstwa zaciągają pożyczki na koszta zawojowania krajów cudzych. Królowie polscy zastawiali klejnoty tylko dla obrony granic własnych i zasłaniając cywilizacyę Zachodu przed barbarzyństwem Azyi. Wojny kozackie, szwedzkie, z Turcyą i Tatarami, zubożyły straszliwie skarbiec koronny.

Wyczerpana Rzeczpospolita nie zawsze miała pieniądze do wykupywania zastawów, a klejnoty przez czas dłuższy niewykupione, gdy stopa procentowa była znacznie wyższą od dzisiejszej, ginęły. Tak np. w roku 1733 wielu już klejnotów nie było, a między innymi zniknął dyament 95 karatów ważący, na pół miliona złotych ówczesnych oceniany. Bywały chwile wojennych zaburzeń, które nakazywały ukrycie godeł królewskich. Tak np. gdy nastąpiła koronacya Augusta III Sasa, korona Chrobrego była w Częstochowie zachowana, a prawdopodobnie i miecz tego króla szczerbcem zwany (od naszczerbienia przy wjeździe w »złotą bramę« Kijowa). Wtedy tenże August III, gdy niepodobna było z powodu przepisanych prawami formalności dobyć rychło Bolesławowej korony z Częstochowy, kazał sobie zrobić we Wrocławiu nową koronę srebrną pozłacaną i w tej się koronował, którą po koronacyi podarował do częstochowskiego skarbca jako votum. Miecz zaś będący naśladowaniem szczerbca pozostał w skarbcu katedralnym krakowskim.

W roku 1792 z polecenia Rzeczypospolitej lustrowali (dnia 18-go Kwietnia) skarbiec koronny na zamku krakowskim po raz ostatni: uczony badacz starosta nowogrodzki Tadeusz Czacki i Jan Nepomucen Horain, wojewodzie brzesko-litewski, w asystencyi wielu znakomitych osób ze stanu duchownego, rycerstwa i mieszczaństwa, oraz regimentu generała Wodzickiego. Czacki dokonał szczegółowego opisu, z którego widzimy, że w skarbcu znajdowały się: 1) Korona złota Bolesława Chrobrego, do koronacyi królów służąca, zwana originalis sive privilegiata, z 10-ciu części złożona, przy koronacyi Stanisława Augusta użyta i przez niego ozdobiona, w niej drogich kamieni 474. 2) Korona złota do koronowania królowych polskich z 8-miu części złożona, w której kamieni drogich i pereł 142 sztuk. 3) Korona złota homagialis, t. j. na odbieranie hołdów używana z 10-ciu złożona, w której drogich kamieni i pereł 178 sztuk. 4) Korona węgierska złota z 8-miu części złożona,

którą koronowali się Ludwik i Stefan Batory. 5) Korona szwedzka z 10-ciu części złożona, w której kamieni i pereł 276 sztuk. 6) Berło złote z 9-ciu kamieniami. 7) Berło małe, złote od korony węgierskiej, u góry w listki zakończone. 8) Berło srebrne wyzłacane. 9) Berło srebrne wyzłacane, u wierzchu kształt bukietu mające. 10) Jabłko złote z rysunkiem kuli ziemskiej i krzyżykiem z pereł i rubinów. 11) Jabłko złote do korony królowych należące. (12 Trzy innych jabłek srebrnych wyzłacanych, z krzyżykami. 13) Dwa złote łańcuchy drutowej roboty ważące dukatów 144. 14) Łańcuch złoty szmelcowany w rycerskie węzły, wagi 364 dukatów. 15) Łańcuch złoty kręcony w pukle, wagi 288 dukatów. 16) Miecz szczerbiec, ze szczerbą na nim i napisami na krzyżu jego i rękojeści. 17) Dwa miecze: jeden z herbem korony, orłem, drugi z herbem Litwy, pogonią. 18) Miecz »zygmuntowskim« zwany, kształtu pół-koncerza, z napisem »Sigismundus Rex Justus«.

Oprócz powyższych klejnotów koronnych, które do obrzędu koronacyi i odbierania hołdów służyły, Czacki znalazł w skarbcu zamkowym: 1) Chorągiew wielką z herbem obojga narodów. 2) Dwie chorągwie na jednem drzewcu z herbami Wielkiego księstwa litewskiego. 3) 16 chorągwi wojewódzkich i ziemskich z herbami.

Były i rozmaite kosztowności, n. p. należące niegdyś do cara Dymitra: miednica srebrna wyzłacana z napisem słowiańskim i wizerunkiem N. Panny, relikwiarz srebrny wyzłacany i krzyż srebrny wyzłacany, otwierający się. Były jeszcze w skarbcu: szable, pancerze, buzdygany, kulbaki, czapraki, rzędy, ostrogi i t. p. zabytki. Wszystko wystawione było na widok publiczny przez dni cztery, a następnie w dniu 21-go Kwietnia napowrót do skarbca wniesione i zapieczętowane. W czasie powstania Kościuszkowskiego dnia 15-go Czerwca 1794 r. weszli do Krakowa Prusacy i zamek z tym skarbcem obsadzili, a założywszy na Wawelu składy potrzeb wojennych, nikomu wstępu nie dozwalali. Gdy po dopełnionym w roku 1795 rozbiorze kraju opuścili Prusacy Wawel i Kraków, sklepy skarbca koronnego zostawili puste. Jest więc wszelkie prawdopodobieństwo, że klejnoty koronne przewiezione zostały do Berlina. »Pamiętniki historyczne« wydania Huberta, podały inwentarz skarbca koronnego z r. 1669, a Rykaczewski wydał inwentarz metryki koronnej znajdującej się na zamku krakowskim w r. 1681, obejmujący także spis klejnotów koronnych. W skarbcu katedry krakowskiej widzieć można miecz w srebrnej pochwie przesłany Zygmuntowi Augustowi przez papieża Pawła III, krzyżyk Anny Jagiellonki, kapę koronacyjną Michała Wiśniowieckiego, różę złotą, którą Marya Józefa, żona Augusta III od papieża Klemensa XII otrzymała i płaszcz królewski Stanisława Augusta. W zbiorach książąt Czartoryskich jest piękny filigranowy łańcuch po królowej Jadwidze i wiele innych pamiątek, który były prywatną własnością panujących polskich.

BODAJ OWA RZECZKA.

Bodaj owa rzeczka szuwarem zarosła,
Która mnie młodego w obcy kraj zaniosła;
Bodaj owa rzeczka rybek nie rodziła,
Która mnie młodego z domem rozłączyła;
Bodaj owa rzeczka wyschła doostatka,
Że mnie tam zaniosła, gdzie nie zajdzie matka.
›Nie trzeba ci było! o mój chłopcze młody,
Puszczać się tak łatwo na wezbrane wody,
Nie trzeba ci było z domu się wydzierać,
Nie musiałbyś teraz z tęsknoty umierać;
Rzeczka będzie rzeczką i wciąż będzie płynąć,
Wstecz nie wróci woda, musisz marnie ginąć!
A twojej mogiły nie obleję łzami,
Tylko nad nią burze będą wyć nocami!«

Adam Asnyk.

Zkąd pochodzą siły w człowieku?

Ustrój ciała ludzkiego jest arcydziełem pod względem anatomicznego urządzenia, każdy bowiem najdrobniejszy narząd, każda tkanka dokonywa czynności, potrzebnych nietylko dla indywidualnego istnienia, ale i dla utrzymania porządku w całym ustroju. Posiada: mięśnie, kości, mózg, gruczoły i każde z nich ma inne przeznaczenie, inne sprawy załatwia, ale harmonijna ich czynność wytwarza zdrowe ciało i zdrowego ducha.

Człowiek, jedząc, pijąc i oddychając, nabiera sił, potrzebnych do wykonywania tych obowiązków, jakie przypadają na dolę każdego. Tu należą nietylko prace dla zarobienia na życie ale i wszelkie ruchy, dokonywane dla osiągnięcia pewnego celu a zatem chód, podnoszenie ciężarów, żucie, połykanie i t. d. Wszystkie te rodzaje pracy można obliczać i wyrazić w sposób używany w mechanice, w kilogramometrach, to jest w jednostce, potrzebnej do podniesienia jednego kilograma na wysokość jednego metra.

Każda praca pociąga za sobą utratę pewnej ilości ciepła. I tak: tracimy ciepło wskutek oddychania i pocenia się ciała, na ogrzanie pokarmów przyjętych i włożonej bielizny i odzieży. Na podstawie ścisłego obrachunku przekonano się, że człowiek, ważący 75 kilogramów, wytwarza dziennie do miliona kilogramometrów siły, to jest tyle, ile potrzeba, aby podnieść 20 tysięcy centnarów na wysokość jednego metra.

Ten ogromny zapas siły czerpie człowiek z przyjmowanych pokarmów i z tlenu wdychanego powietrza. Bardzo staranne i ścisłe obrachowania wskazały, że bardzo niewielka dzienna ilość pokarmów pozwala człowiekowi rozwinąć taki ogrom siły, a mianowicie: 120 gramów białka, które wchodzi w skład mięsa, jaj, mleka, zboża i roślin strączkowych, 50 gramów tłuszczu i 500 wodanów węgla, to jest skrobi i cukru nareszcie 2500 gramów wody i 58 gramów soli. Inne rzeczy, które pożywamy w pokarmach, są tylko balastem lub służą dla przyprawy, dla apetytu. Tlenu ustrój człowieka potrzebuje 750 gramów dziennie. Białko więc, tłuszcze, krochmal, cukier i tlen są ciałami pożywnemi i wytwarzają w organizmie siłę. Że tak jest, można się przekonać doświadczalnie, z oznaczonych bowiem ilości tych ciał możemy wywrzeć siłę, zdolną podnieść 20 tysięcy centnarów na wysokość jednego metra.

Gdy człowiek jest młody, ilość przyjmowanych pokarmów, a zwłaszcza najważniejszego — białka, jest nieco większa nad potrzebę, kosztem bowiem tej nadwyżki rośnie organizm, rozwijają się i tworzą nowe błonki w ustroju. W starości następuje proces zupełnie odwrotny: ustrój przyswaja sobie mniej pokarmów, aniżeli potrzeba dla rozwoju siły, wskutek czego słabnie i traci wagę.

Wszystkie przyjęte pokarmy ulegają pewnym przemianom pod działaniem rozmaitych płynów, które każdy żywy wydziela. Wszystkie pokarmy mączne w skutek działania śliny zmieniają się na cukier gronowy, białkowe części pod wpływem soku żołądkowego zmieniają się na tak zwane peptony, a tłuszcze oblane sokiem trzustkowym i żółcią zmieniają się na mydło. Przemiany te następują wskutek działania pewnych składników, zawartych w tych sokach i przezwanych fermentami. Każdy przyjęty pokarm musi być przekształcony przez nasz ustrój, bo ten żadnego gotowego produktu, nawet białka jaj nie przyjmuje. Krew roznosi pokarm po całem ciele i każdemu narządowi oddaje to, czego ten potrzebuje dla spełnienia swych obowiązków względem całego ustroju, przyczem ilość krwi przepływającej, zawsze jest większą tam, gdzie jakiś organ zaczyna być czynnym, czy to będzie organ ruchu czy organ myślenia.

Nadto, każdy narząd dłuższy czas czynny, rozwija się i wzrasta czy to jest

mięsień, czy gruczoł, czy mózg, czy przewód pokarmowy. Dla tego też ci, co się żywią wyłącznie pokarmami roślinnymi, mniej pożywnymi i potrzebującymi większej pracy do strawienia, mają jelita dłuższe a wielcy myśliciele mają mózg większy.

Jak powiedzieliśmy, dzienna ilość białka potrzebnego, jest 1200 gramów. Aby wydobyć tę ilość białka, potrzeba, aby człowiek zjadał 600 gramów mięsa, w którem białko stanowi główną część składową, albo 700 gramów jaj albo 1200 gramów chleba, albo nareszcie 20 kilogramów ziemniaków, to jest taką ilość, której człowiek spożyć nie jest w stanie. Dla tego też pokarmy przez nas spożywane są zwykle mięszane, aby wydobyć z najmniejszej ilości tyle, ile potrzeba dla organizmu. Zauważyć przy tem musimy, że człowiek posiada wysoką zdolność przystósowania się do warunków zewnętrznych i może utrzymać się na równowadze, spożywając pokarmy różne tak co do jakości, jak i co do ilości.

Tylko dorośli ludzie mogą znieść wyłącznie roślinne pożywienie, choć przewód pokarmowy musi pracować bez odpoczynku dzień cały, ale dla dzieci jest to zabójcze i ta właśnie okoliczność tłómaczy olbrzymią śmiertelność dzieci wśród ubogiej ludności.

Aby ocenić ilość pokarmów, którą powinien przyjąć człowiek dla utrzymania prawidłowego odżywiania, przedstawiamy tabliczkę głównych produktów pożywienia z oznaczeniem ich składowych części.

Na 1000 części zawiera:

	wody	białka	tłuszczu	wod. węg.
Mięso wołowe	750	200	10—10	—
Ryba	800	180	5	—
Mleko krowie	880	36	30	—
Masło »	100	10	850	—
Jaja	650	100	100	—
Bułki pszenne	350	70	—	550
Chleb żytny	400	60	—	550
Ryż	130	70	—	750
Ziemniaki	750	20	—	200
Grzyby	800	50	—	100
Kapusta	920	20	—	35
Groch i fasola	150	200	—	500

Na podstawie tych cyfr są ułożone normy żywienia dla żołnierzy na służbie w czasie zwykłym i wojennym, dla chorych w szpitalach, dla wychowanków w zakładach naukowych i t. d.

W szpitalach naprzykład, każdy chory na całą porcyę otrzymuje w ciągu dnia oprócz chleba i bułek sześć dań, a mianowicie na śniadanie mleko lub zupę, na obiad rosół lub zupę 100 gramów ugotowanego mięsa z sosem lub upieczonego i leguminę lub jarzynę, na wieczerzę zaś dwa dania, zupę i kaszę lub kluski albo ziemniaki.

Obrachunek wykazuje, że każdy chory, mający całą porcyę otrzymuje istot białkowych, tłuszczu i wodanów węgla nieco więcej, aniżeli wymaga ustrój ludzki w przecięciu. W zakładzie ubogich, gdzie są starcy i słabi, norma szpitalna okazała się zbyt obfitą.

Pomówmy teraz jeszcze o jednym pokarmie, bez którego nie ma produkcyi siły, a mianowicie o tlenie, który czerpiemy z powietrza.

Z każdym oddechem człowiek wciąga do płuc powietrze; w ciągu dnia przechodzi przez płuca 10.800 litrów powietrza, w których znajduje się 581 litrów tlenu (750 gramów). Tlen jest potrzebnym nie tylko dla produkcyi siły, ale i dla życia wszystkich tkanek naszego ciała. Dla tego też zepsute powietrze rujnuje zdrowie tak samo jak zepsute pokarmy. Wpływ czystego powietrza możemy widzieć, porównywając zdrową cerę mieszkańców wiejskich z cerą mieszkańców miast, którzy warunkami życia zmuszeni pędzić większą część dnia w biurach, magazynach i sklepach pozbawionych czystego powietrza, cierpią na niedokrewność, blednicę złe trawienie itp.

Powietrze psuje się przedewszystkiem kwasem węglowym, którego wydychamy dziennie 384 litry (760 gramów). Dla tego też powietrze wydychane jest kwaśne i do ponownego wdychania nieprzydatne.

Oddychaniem wydzielamy też z ciała naszego w małej ilości inne jeszcze pierwiastki więcej trujące, aniżeli kwas węglowy. Z tego więc powodu oddychając w przestrzeni zamkniętej i nie-

wielkiej, możemy się struć własnym naszym oddechem.

Oprócz oddechu psują powietrze gazy, wywiązujące się przy każdem paleniu węgli, przy oświetlaniu pomieszkań, przy gniciu resztek roślinnych i zwierzęcych, dla tego też wszyscy hygieniści powstają przeciwko kupom gnijących śmieci w dziedzińcach i różnych zakątkach, bo zanieczyszczone powstającymi przy gniciu gazami powietrze, wciska się do mieszkań i osłabia ustrój, zmniejsza żywotność i odporność na szkodliwe wpływy, na które się tak często narażamy.

Dla tego też zwrócić należy uwagę na urządzenie wszelkich lokali publicznych, teatrów, sal balowych, a przedewszystkiem szkół, w których młodzież przepędza tyle godzin z rzędu i dla których potrzeba obszernych kurytarzy i sal, gdzieby uczniowie mogli spędzać czas pomiędzy godzinami wykładowemi.

Jeżeli człowiek spożywa więcej, aniželi tego wymaga dzienny wydatek siły, to część tego zbytniego pożywienia wzmacnia różne tkanki i wzbogaca krew, reszta zaś w postaci tłuszczu odkłada się pod skórą i w różnych narządach wewnętrznych. Przeciwnie, jeżeli człowiek cierpi głód, to na pracę mechaniczną, na produkcyę ciepła robi wydatek z własnego ciała.

Doświadczenia ze zwierzętami umierającemi śmiercią głodową, dowiodło, że ustrój ich tracił przedewszystkiem cały zapas tłuszczu, jaki posiadał, następnie zanikały inne tkanki, jak krew, wątroba, mięśnie; jedno tylko serce i mózg zmarłych z głodu nie przedstawiały żadnej straty. Dla tego też osoby, zasypane śniegiem, lub w kopalniach, pomimo osłabienia z głodu, do ostatniej chwili nie tracą przytomności.

Wszystko co powiedzieliśmy, prowadzi jeszcze do uwagi, że im więcej chcemy pracować, tem więcej jeść musimy. W zimie, kiedy człowiek, wskutek niskiej temperatury, przy jednostajnej pracy, traci więcej ciepła aniželi w lecie, ilość pokarmu spożytego musi być większa, ze względu jednak, że tu najwięcej chodzi o produkcyę ciepła, pożywienie powinno się składać przeważnie z tłuszczu i pokarmów mącznych, które są głównem źródłem produkcyi ciepła. Dla tego też mieszkańcy północy zjadają taką wielką ilość tłuszczów, bez żadnej szkody dla zdrowia.

O księciu Dymitrze i o Hryciu Rusinie.

I.

Co się stało ze skradzionem dzieckiem?

Książę Dymitr, czyli Demetryusz Wiśniowiecki żył za sławnego króla polskiego Zygmunta Augusta. Otrzymał on w spadku po rodzicach ogromne dobra na Rusi Czerwonej i na Wołyniu, a mieszkał w mieście swojem Wiśniowcu, które leży nad rzeką Horyniem w bardzo pięknem położeniu. Za owych czasów stał tam wspaniały zamek murowany, oddawna należący z całem miastem do książąt Wiśniowieckich, bo też i od miasta Wiśniowca nazwisko ich pochodzi.. Z jednej strony rzeka, a z drugiej dość wyniosłe góry okrążały ten mocny i ogromny zamek.

Za owych czasów wielcy panowie byli nieraz bogatsi niż sami królowie; a i książę Wiśniowiecki nie należał do biednych, skoro był dziedzicem kilkunastu miasteczek i kilkuset wiosek. Tacy panowie mieli swoje nadworne wojsko, czasem i kilkanaście tysięcy ludzi wynoszące i ztąd też nieraz, jak się uparli, to mogli dokuczyć do żywego i samemu królowi, i nieraz po swojej woli z prostego szlachcica robili króla; gdyż przez kilkaset lat ostatnich królowie w Polsce wybieralnymi byli. Taka samowolność panów często szkodziła całemu krajowi: bo kraj i naród wtedy jest silny, kiedy wszyscy na równi jednych praw używają i słuchają.

Lecz za króla Zygmunta Augusta, który pochodził z rodu dobrego i sławnego wojaka Władysława Jagiełły, króla Polski i Litwy, kraina Polska była jeszcze bardzo silna, bo też poświęcenie się, zgoda, poszanowanie praw i miłość ojczysta panowały w kraju. Książę Dymitr na rozkaz króla bił nieraz Turków, Tatarów i innych nieprzyjaciół; nigdy woli króla i sejmu nie przełamywał w niczem ale zobaczymy, że w tem nie wytrwał do końca.

. . . .

Miał ten książę dwoje dzieci, syna i córeczkę. Zdarzyła się właśnie potrzeba czyli wojna moskiewska, wtedy właśnie, kiedy syn Jeremi 16 lat kończył. Książę Dymitr wyciągnąwszy razem z innymi na tę wojnę, zabrał z sobą syna, by go zawczasu ukrzepić na rycerza w zaciętych bojach, jakie stoczyć wypadło z Iwanem Groźnym carem moskiewskim, wojującym z królem polskim uparcie.

W zamku została żona książęcia z maleńką Praksią, to jest Praksedą, bo tak było na imię jej córeczce, która zaledwie trzeci roczek miała podówczas. Było to dziecię prześliczne; oczka miała jak niezapominajki rosnące po łąkach, a włoski jej błyszczały jak jedwab jasny.

Już pół roku książę Dymitr wojował, kiedy raz w czasie choroby księżnej, w piękny dzień majowy, piastunka ze starym sługą dworskim, Ostafim, wyszła z zamku na zieloną łączkę, by dziecinie pięknych kwiateczków nazbierać. W tych czasach bandy cyganów przybyłe z sąsiedniej Wołoszczyzny błąkały się w okolicy; ale blizko zamku jeszcze ich nikt nie widział. Ale w tę chwilę zdarzyło się właśnie, że drogą od lasu wyszła stara jakaś cyganka z rozczochranemi włosami na głowie, okryta w płachtę czerwoną i poobwieszana na szyi i piersiach różnemi srebrnemi pieniędzmi. Pod pachą niosła jakieś zawiniątko.

Jak teraz jeszcze, tak dawniej tem więcej, bo w większej ciemnocie swojej ludzie wiejscy dawali chętnie dłonie swoje do wróżenia babom cygańskim. Więc też, kiedy owa cyganka spostrzegła piastunkę z dzieckiem i sługą na łące zielonej przy drodze, zwróciła się do nich i prosiła o wsparcie, za co im pięknie wróżyć przyrzekła. Zgodzili się na to chętnie; cyganka usiadła przy nich na trawie, małe, białe zawiniątko nieznacznie położyła na boku, a poprosiwszy o dłoń piastunki, wróżyła jej a potem i staremu słudze nadzwyczajne rzeczy. Otrzymawszy za to kilka groszy, oddaliła się, i wkrótce znikła za wysokiem zbożem.

Kiedy już piastunka z dziewczynką i Ostafim wracać mieli napowrót do zamku, spostrzegli w trawie owe białe zawiniątko. Podnoszą je, odwijają i spostrzegają krajankę sera i flaszkę niby wodą napełnioną. Ciekawa piastunka, zwyczajnie jak kobieta, odkorkowała flaszeczkę i powąchała.

— A tożto wódka — zawołała — i patrzcie mój Ostafij, jaka dobra! — dodała, skosztowawszy ją końcem języka. Potem przechyliła lepiej flaszeczkę aż w niej bluknęło i niby druga Ewa zachęciła starego sługę, aby także skosztował. Ostafi, niby drugi Adam, wziął chętnie z rąk piastunki flaszeczkę i wychylił ją do reszty, a ocierając usta, powiedział:

— Dobra! co się nazywa... Aleć nie ma w tem grzechu, boć pewnie już drugi raz w życiu tej cyganki nie zobaczymy; ma się gorzałczysko zmarnować, toć lepiej ją wypić.

Ale niebaczni, nie wiedzieli co robią: piastunka swoją zbytnią ciekawością a Ostafi swoją chciwością nawarzyli piwa, którego, jak to mówią, wypić nie mogli. Bo oto ledwie wypili wódkę, aż tu zaciężała im nagle głowa, mimowolnie zamykają się powieki i oboje kiwając się, przechylili się na trawę i zasnęli snem twardym. Pokazało się, że cyganka umyślnie podłożyła im tę wódkę zaprawioną usypiającem zielem. Nie upłynęło też kwadransa, kiedy cyganka ze zboża wyszła i obejrzawszy się ostrożnie na wszystkie strony, lisią stopą podsunęła się do nich. A oni spali twardo i chrapali jak zarżnięci.

Nie tracąc czasu cyganka, ściąga piękną chustkę z piastunki, owija w nią dziecinę spokojnie spoczywającą na trawie, uchodzi spiesznie w stronę bliskiego lasu i niknie w gęstwinie buków. Tam niezadługo złączyła się z bandą cygańską i stanęła przed jej przywódzcą, czyli jak u nas mówiono, cygańskim wójtem. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu z głową czarną kędzierzawą jak snopek grochowiny, ogorzałej, także czarno obrośniętej twarzy, a ponure jego spojrzenie strach wzbudzało w człowieku. Odziany był czerwonym płaszczem a w ręku miał długą jabłonkową pałkę nabijaną na sękach krzemieniami i zakończoną ostrem żelazem.

Jak tylko złodziejka dziecka, przyszła do swych towarzyszy ze skradzionem dziewczątkiem, zaszwargotali do siebie swoją mową i niedługo cała banda gęstwinami lasu przedzierać się poczęła ku południowi. Tak idąc przez tydzień i karmiąc jagodami, buczyną, wodą i chlebem czarnym, zeschniętym, przestraszoną dziecinę, zaszli aż pod miasto Kołomyję, blisko węgierskiej granicy leżące.

Około wsi Obertyna rozłożyli się w lesie obozem, rozpalili ogień i posiliwszy się, jedni położyli się spać pokotem, a drudzy ich pilnując, straż trzymali około ogniska. Banda składała się blisko z dwudziestu mężczyzn, kilku kobiet okrytych to białemi, to czerwonemi i zielonemi płachtami. Dziecina ciągle płakała. Stara cyganka głaskała ją, pieściła, lecz niczem utulić łez biednej dzieweczki nie mogła.

Musimy tu powiedzieć, dla czego to cyganie tak chciwi byli na dzieci. Mieli oni takie wyrachowanie z podobnej kradzieży, że zazwyczaj porywając albo bardzo ładne, albo też bogatych rodziców dzieci, uczyli je potem różnych sztuk, wyginań i skoków na linie lub też tańców, śpiewania i grania zazwyczaj na tamburynie, obwieszonem różnemi brząkadłami. Naturalnie, jeżeli te dzieci były ładne, to chętniej im się każdy przyglądał i więcej dawał pieniędzy; jeżeli zaś były bogate z domu swego, to dawali wiadomość tajemną ich rodzicom: że tam a tam dziecko znajdą, jeżeli wprzód w tem a w tem miejscu okup bogaty za nie podłożą.

Kiedy więc owi cyganie nocą obozowali w lesie, po pewnym czasie i straż ich znużona i spragniona snu także zasnęła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

* Objaśnienia rycin. *

Podróżnik Fryderyk Jackson wyruszył z dziewięciu ludźmi 11-go Lipca 1894 w podróż do bieguna północnego. Trzy lata nie było słychu o nich, aż nakoniec 3-go Września 1897 wrócili wszyscy zdrowi do Londynu.

W roku 1894 odwiózł ich okręt, zwany »Windward«, do ziemi Franciszka Józefa. Ztamtąd ruszyła wyprawa na sankach dalej, pozostawiwszy kilku ludzi i prowianty na miejscu w namiotach. Każdy namiot był ośmiokątny z ścianami potrójnemi z drzewa, płótna i filcu. Namioty łączyły ze sobą ganki kryte, z tego samego materyału zbudowane. Trzy namioty przeznaczone były na mieszkanie, jeden z wieżyczką na obserwatoryum, jeden na stajnię a jeden na umieszczenie psów. Wyprawa zaopatrzyła się także w łodzie; miała sześć łodzi, używanych przy połowie ryb, jednę łódź z aluminium i jednę bardzo lekką z sosnowego drzewa.

Dla wyżywienia zabrano między innemi 8 tysięcy funtów sucharów okrętowych i mięsa, 16 tysięcy funtów rozmaitych warzyw zakonserwowanych, 500 funtów ekstraktu rosołowego, 1000 funtów śledzi, 500 funtów sardynek w pomidorowym sosie.

Oprócz tego zabrano 14 tysięcy funtów pożywienia dla 30 psów i 4 koni rosyjskich. Wszystkie artykuły żywności znajdowały się w puszkach zalutowanych.

Oprócz dowódzcy Fryderyka Jacksona wzięli w wyprawie udział lekarz dr. Koettlitz, naturalista Bruce, oficer okrętowy Armitage, który jest astronomem. Każdy z tych podróżników badał kraj; to też wyprawa ma wielkie znaczenie dla wielu gałęzi nauk.

Wśród wielkich mrozów musieli się podróżnicy inaczej ubierać, niż w Anglii. Użyli na ubranie skór zwierzęcia, zwanego renem a kazali je uszyć podług mody Samojedów. Na obrazku widać Jacksona w takiem ubraniu.

Gdy odjeżdżali do domu, pozostawili namioty a w nich żywność i węgle dla innych podróżników.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 25-go Listopada 1897. Nr. 47.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

O lekarzach duchownych
w wiekach średnich.

Właściwy choć bardzo powolny rozwój sztuki lekarskiej zaczyna się dopiero w wiekach średnich, które były wiekami tryumfu chrześciaństwa. Powód tego objawu nie jest trudny do wytłumaczenia. W starożytności, mimo jej świetnej cywilizacyi, a bardzo względnej moralności, nie było mowy o uczynkach miłosierdzia, a właśnie zdolność serdecznego odczuwania niedoli bliźniego jest koniecznie potrzebną w sztuce lekarskiej. Dopiero wówczas zaczął się tędy rozwój tej sztuki, gdy Chrystus nauczył ludzi miłości bliźniego. Gminy chrześciańskie wraz z swym rozwojem zaczęły się opiekować chorymi. Opieka ta bywała poruczoną chrześciańskim urzędnikom gminnym, dyakonom, subdyakonom i dyakonissom, później zaś wdowom i starszym kobietom. Powstawały również wówczas za staraniem gmin chrześciańskich, nieznane dotąd spółeczeństwu wcale zakłady dobroczynne dla chorych. Obowiązki lekarzy w takich zakładach wykonywali duchowni posiadający wiadomości t. z. medycyny pastoralnej, używającej jako środków leczniczych, ziółek. Medycyna ta jeszcze teraz jest praktykowaną przez lud. Zakłady dla chorych zaczęły się rozwijać od wojen krzyżowych. W owych czasach powstał długi szereg zakonów, których wyłącznem zadaniem było opiekowanie się chorymi. I tak powstały wtedy bractwa: św. Antoniego, Aleksego, Czarnych sióstr, Lazarystów, Szpitalników, Szpitalnic, Johanitów, Johanitek, Rycerzy niemieckich, Templaryuszy i t. d. Niektóre z tych zakonów jeszcze dzisiaj istnieją, służąc dobroczynności publicznej. Zakony te zrazu nie budowały zakładów dla chorych, lecz opiekowali się nimi po domach prywatnych. Dopiero z biegiem czasu zaczęto budować zakłady dla chorych i potrzebujących doraźnej pomocy t. z. gospody. Z takich gospod istnieje jeszcze utrzymywana przez OO. Benedyktynów gospoda na Mont Cenis (założona w r. 825) i na górze św. Bernarda (założona w r. 980). Niebawem po powstaniu »gospód« zaczęto zakładać szpitale, przeznaczone wyłącznie tylko dla chorych. Bardzo charakterystycznymi były przepisy dla tych szpitali. N. p. przepis (z r. 1081) dla szpitalu Johannitów w Jerozolimie nakazuje, aby kierowało nim czterech lekarzy, biegłych w »kunsztach medycznych« i aby chorym podawano trzy razy na tydzień wieprzowinę, baraninę i kury. Najsłynniejszymi stały się szpitale Nestoryanów, którzy też posiadali sławne szkoły lekarskie w Edessie, w Nisibis w Mezopotanii, a najsławniejszą w Kurdystanie. Szkoły te ulepszyły znacznie starą medycynę arabską.

Ówczesna sztuka lekarska opierała się przedewszystkiem na dziełach Hipokratesa, Galena, Celzusa i lekarzy arabskich, nie zawsze jednak niewolniczo, co było powodem jej ciągłego, choć powolnego bardzo rozwoju. Ze świeckich księży zdobyli sobie wielką sławę lekarską: Benedykt Crispus, arcybiskup medyolański († 725), Dominik, opat z Peschiery i Wigbert, biskup w Hildesheim. Najsławniejszym lekarzem w owych czasach był Bela venerabilis. Polecał on między innemi, pijać przez cały Czerwiec i Lipiec rano na czczo po kubku świeżej wody, a przez Październik tyleż mleka koziego, lub owczego, aby ustrzedz się od kamienia, wygoić chore płuca i ostudzić krew za gorącą. Lekarze ówcześni spisywali zazwyczaj swe poglądy na leczenie. Między dziełami, pozostałemi po nich sławny jest poemat »o właściwościach roślin« (macer floridus) napisany przez Odona. Dzieło to wywarło wielki wpływ, zwła-

szcza w Niemczech, na całą medycynę ludową. W owych czasach powstawały też szkoły nauki leczenia. Najwięcej wpływu na rozwój medycyny wywarły szkoły benedyktyńskie. Jakiś czas sławną była szkoła przy klasztorze Monte Cassino, założonym przez św. Benedykta u Apeninów w Kampanii, na miejscu dawnej świątyni Apolina. Z umiejętności leczenia słynął tam zwłaszcza opat Bertharyusz († 883) i Konstanty z Afryki, który studyował medycynę w najsławniejszej wówczas szkole w Bagdadzie. Sławę szkoły w Monte Cassino zaćmiła niebawem również benedyktyńska szkoła w Salernie. Dwa pomnikowe dzieła wyszły z tej szkoły: »Compendium salernitanum i regimen sanitatis«. Ostatnie to dzieło nakazuje puszczać krew w każdym miesiącu. Poleca też ono, aby piwo nie było kwaśnem i aby je warzono z dobrego jęczmienia.

»Regimen sanitatis« przełożono w wiekach średnich na różne języki. Na polskie przełożył to dzieło Ślązak Mimerus (w r. 1535) i Olszowski Hieronim (w r. 1645). Wielce charakterystycznem jest, że kierownicy szkoły w Salernie co do poglądów na emancypacyę kobiet wyprzedzili nasz wiek. Jak można się przekonać z pozostałych spisów nauczycieli tej szkoły, byli tam profesorami nietylko mężczyżni, ale i kobiety! Nie mały wpływ na rozwój medycyny wywarła również filozofia scholastyczna a to z tego względu, że twórca jej Jan z Damaszku występował przeciw astrologii, magii i inym zabobonom.

Od VI. wieku sztuka lekarska była zupełnie pod wpływem Kościoła, z końcem XV. wieku hegemonia ta zaczęła słabnąć, a w w. XVII odsunął się kościół zupełnie od medycyny.

W Polsce — o czem pisał lekarz poznański Ludwik Gąsiorowski, autor: »Wiadomości do historyi medycyny w Polsce« — lekarzami byli również przeważnie duchowni. I tak przy każdej kapitule znajdował się lekarz kanonik. Miejsce takie nazywano: »canonicatus doctoralis medicinae.« — Oprócz lekarzy duchownych byli jednak też lekarze świeccy, których nazywano: »medici capitulares-

Pustelnik i skarb znaleziony.

Szedł pustelnik drogą przez puszczę i znalazł trzos skórzany pełen złota, a zamiast go podnieść, jął kijem okładać. Wtem nadeszło trzech podróżnych, którzy to zobaczywszy pytają pustelnika z podziwem, dlaczego chłoszcze pieniądze?

— Bo w tym trzosie jest śmierć ukryta — odpowie starzec — więc ją okładam, aby się do mnie nie czepiła.

— Jaki on głupi! — rzekli podróżni. Naśmieli się z dziada, trzos ze złotem zabrali i poszli w dalszą drogę, a pustelnik udał się na puszczę.

Uradowani niespodzianem szczęściem, gdy słońce już zaszło, wstąpili do samotnej wśród boru gospody, aby podzielić się złotem i zanocować. Przy wieczerzy, z wielkiej radości podchmielili sobie niezgorzej, a że, jak to bywa, ten mocniejszy po kieliszku w nogach, inny w głowie — więc i tu, gdy jeden zasnął jak drewno, dwaj pozostali, zmówili się, żeby śpiącego zabić i pieniędzmi które wziął w podziale, rozdzielić się. Jakoż spełniwszy zbrodnię, trupa w krzakach ukryli, pieniądze zabrali i nie zapomniawszy flaszy z resztą gorzałki, szybko w bory uciekli.

Długo szli przez gęstwiny, aż pomęczeni zatrzymali się na odpoczynek. Wtedy ten, który do zbrodni namówił, żeby dodać sobie odwagi i zagłuszyć głos sumienia, duszkiem wychylił pozostałą gorzałkę, poczem usnął snem twardym.

Towarzysz, słysząc chrapanie, myśli sobie: Ty mnie do zbrodni namówiłeś, więceś sam na taką śmierć zasłużył; jeżeli ja ciebie zabiję, to cię spotka słuszna kara, a zbrodnia nasza już nigdy się nie wyda. Tak dumając, zabił zbrodniarz zbrodniarza, zabrał wszystko złoto, ukrył trupa w lisiej norze i powędrował do miasta z ciężkim trzosem złota i z jeszcze cięższem sumieniem.

Sumienie nie dawało mu pokoju we dnie i w nocy, aby więc go zagłuszyć, pił na zabój, grał w kości z kosterami, szulerował i hulał jak opętany, aż nareszcie cały skarb swój przetrwonił.

Nędza poczęła trapić ciało, a jadowity robak sumienia toczył mu duszę. Gdzie spojrzał, widział w każdej kropli błota krew ludzką, w każdym głosie słyszał jęk konającego pod nożem. W dzień, każdy kto spojrzał na niego, zdawał się wiedzieć o jego zbrodniach; w nocy, pomordowani stawali nad głową, spędzając mu sen z oczu.

Nie mogąc znieść widoku ludzi, uciekł znowu na puszczę. Ale gdy w pustkowiu głód i sumienie jeszcze srożej dręczyć go poczęły, postanowił zakoń-

czyć swą męczarnię samobójstwem. Jakoż upatrzywszy sobie gałąź, już założył pętlicę na szyję, gdy nagle ukazał się z gęstwiny ten sam pustelnik i kościstą ręką wstrzymał spełnienie trzeciej zbrodni. Samobójca skruszony widokiem świątobliwego starca, upadł przed nim na kolana i płacząc, szukał ulgi w szczerej i długiej spowiedzi.

— Grzeszniku — rzekł wzruszonym głosem starzec — wielkie są winy twoje, ale jeszcze większe miłosierdzie Boże! Oto cudowne zrządzenie przeszkodziło twojemu samobójstwu, a ocalić może życie niewinnego karczmarza z owej leśnej gospody, który posądzony o dwa zabójstwa i na śmierć skazany, jutro ma być ścięty przez kata. Ja jeden byłem przeświadczony o niewinności tego człowieka, ale dowodów na to nie miałem. Modliłem się gorąco i Bóg wysłuchał modłów moich. Jeszcze nie jest zapóźno. Idź grzeszniku do miasta, wyznaj przed starostą zbrodnie twoje, proś o surową dla siebie sprawiedliwość, zgiń śmiercią zasłużoną a ocalisz życie niewinnemu karczmarzowi i własną duszę wybawisz od potępienia wiecznego.

Nazajutrz na rynku, rano, gdy karczmarza ścinać miano, przedarł się przez tłum zebrany, człowiek nikomu nieznany, krzycząc głosem rozpaczliwym: »Jam jest mordercą prawdziwym, za największą łaskę świata, dajcie mi pójść pod miecz kata; karczmarz niewinnie sądzony, niech wróci do dzieci, żony«.

Rozmaitości.

* **Wanowski**, rosyjski minister wojny, sędziwy bardzo jenerał, o którego blizkiem ustąpieniu mówią, kawaler najwyższego w Rosyi orderu św. Andrzeja, z urodzenia jest Polakiem. Pochodzi ze znanej bardzo na Litwie i zasłużonej rodziny kalwińskich pastorów, tytułujących się tam na na równi katolickich duchownych księżmi, którzy przynajmniej od półtora wieku urzędowali w Kojdanowie i w Słucku. W gimnazyum kalwińskiem w Słucku, które przeważnie przez katolicką młodzież było odwiedzane, byli Wannowscy wielce szanowanymi i cenionymi profesorami. Z tej samej rodziny pochodził zmarły profesor katolickiego gimnazyum w Poznaniu, znakomity filolog, August Wannowski, urodzony w Białymstoku, zmarły jako emeryt w Gdańsku, również reformowanego wyznania. Jenerał Wannowski najpewniej w młodym wieku do wojska wstąpiwszy, posuwał się po szczeblach aż doszedł do obecnej wysokiej godności. Czy pozostał wierny swemu wyznaniu i języka ojczystego nie zapomniał, nie wiemy, ale zabawna była rzecz, gdy ks. Bismark jego i Hurkę obwołał Polakami, wszędzie niebezpieczeństwem od Polaków widząc biedne Niemcy zagrożone. Jenerał Hurko pochodzi z rodziny białoruskiej, pierwotnie unickiej (o Hurkach unitach jest wzmianka w pamiętnikach Felicyana Piaskowskiego we Lwowie niegdyś wydanych) a następnie obrządku łacińskiego, ale sam osobiście nigdy ani Polakiem, ani katolikiem nie był.

* **Kto wynalazł parasol?** Prawdopodobnie pytania tego nikt już nigdy nie rozwiąże, ale zdaje się, że pożyteczny ten przedmiot z Chin do nas się dostał. W Europie parasol był nieznany do połowy XVIII wieku. Dopiero angielski podróżnik John Hanway przywiózł do Londynu pierwszy egzemplarz ze wschodu. Uprzedzenie przeciw tej nowości było jednak w Londynie tak wielkie, że Hanway później nie mógł się pokazywać na ulicy tylko pod strażą policyi. Ludzie nazywali go waryatem, a ulicznicy biegali za nim, strojąc mu figle. Kiedy w Paryżu pojawił się po raz pierwszy parasol, o mało nie wybuchła rewolucya ze strony tragarzy lektyk. Obawiano się, że zaprowadzenie parasola doprowadzi do zniesienia lektyk i obawa okazała się usprawiedliwioną. Mimo tak gwałtownego oporu, parasol zdobył sobie przecie świat cywilizowany.

* **Jako jeden żałował, iż przed obiadem nie zagrał na fujarze.** Jeden żołnierz wędrując przez wielki bór, usiadł sobie pod dębem około południa i wydobywał chleb i wędzonkę na posiłek. Aliści patrzy, jak trzy stare wilki wyszły z kniei i łykając ślinę, patrzą na jego obiad. Myśli sobie: broni nie mam, więc jak im pożałuję obiadu, to zgłodniałe bestye rzucą się na mnie i pożrą. Począł tedy ciskać im chleb i wędzonkę i oddał wszystko, co miał z sobą. Ale wilkom zaostrzył się jeno apetyt, więc przypatrują się mu ciągle. Żołnierz widzi, że to nie przelewki, a w torbie miał już tylko fujarę. Więc przypomniał sobie wydarzenie o grajku, którego skrzypce przed wilkami ocaliły, wydobył fujarę i zadudlił. Ano ledwie grać począł, a wilki stuliwszy uszy i ogon, uciekły w gąszcze kniei. Żołnierz, grając na fujarze, idzie śmiało w swoją drogę, a głodny wzdycha tylko, myśląc o wędzonce i żałując, że nie zagrał wilkom przed obiadem.

* **Małżeństwo przez telegraf.** Dzieliły ich tysiące kilometrów. On znajdował się w Transvalu, ona w Holandyi; jednak pilno im było wstąpić w związki małżeńskie. Połączył ich specyalny drut telegraficzny, przeprowadzony z numeru hotelowego w Pretorii, siedziby narzeczonego, do pokoju oblubienicy w Amsterdamie, w którym zebrali się świadkowie — a nawet drużbowie i drużki.

— Czyście już gotowi? — zatelegrafował pan młody.

Urzędnicy stanu cywilnego załatwili zwykłe formalności, młoda para przysięgła sobie wiarę dozgonną po telegraficznym drucie, poczem odbyła się uczta weselna u rodziców panny młodej, którą następnie biesiadnicy od-

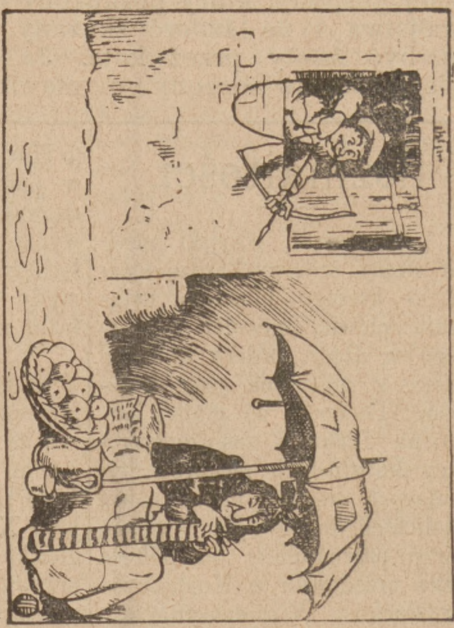
prowadzili na okręt. Wyruszyła, aby się połączyć z oblubieńcem.

* **Olbrzymi grzyb.** Lebeue, rolnik z Aubervilliers we Francyi, wyhodował olbrzymi grzyb, który ma dwa metry obwodu, a waży $11^1/_2$ kilogr. (23 funtów). Hodowca podlewał go trzy razy dziennie i nakrywał muślinem.

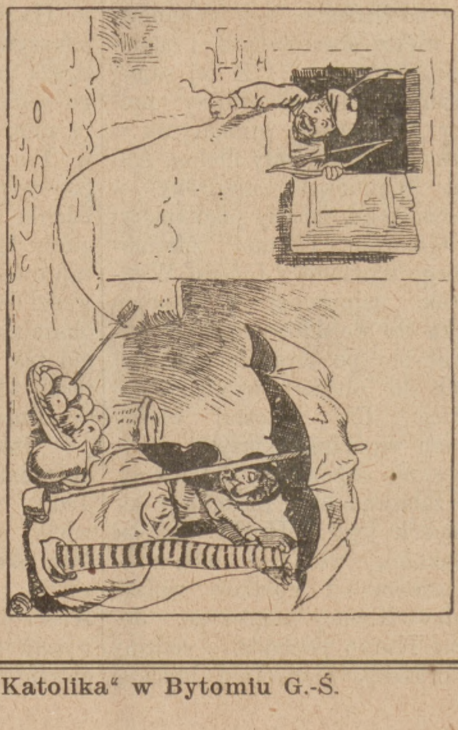
* **Pływający królik.** Naturalistom od dawna już było wiadomo, że króliki, nietylko w Australii umieją wspinać się po drzewach, jak wiewiórki, ilekroć zmusza je do tego potrzeba, n. p. jeżeli umykają przed psami, lub też chcą znaleść sobie wysoko na drzewie bezpieczne leże, w którem by ich nie napastowano.

W ostatnim czasie przekonano się, że króliki mają jeszcze inne zdolności, mianowicie potrafią jaknajlepiej pływać w wodzie, jeżeli je w nią zapędzi grożące ich życiu niebezpieczeństwo.

W jednem z francuskich pism naukowych, świadek naoczny opowiada, iż stojąc raz na moście, rzuconym przez rzekę, mającą z górą sześć metrów szerokości, widział, jak królik spłoszony przez myśliwego, rzucił się w wodę śmiało, bez wahania i przepłynął rzekę szybko i zręcznie, aż dostał się na drugi brzeg w bezpieczne miejsce. Godzi się przypomnieć, że i zające niekiedy w ten sposób chowają się przed pościgiem.



1. Wicek: Skorzystam z tego, że przekupka z wielką uwagą pończochę robi i za pomocą strzały z łuku wyłowię jej jabłka.



2. Udało mi się, a ona nic nie widzi, nic nie słyszy, pończochą zajęta.



3. To był celny strzał! Aż trzy jabłka naraz!



4. Przekupka: O rety, gdzie moje jabłka?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu G.-Ś.